
Białoruś

Kamil Kłysiński

🏰 Dialektyka polityki finansowej

Białoruskie władze wciąż nie mogą poradzić sobie z sytuacją na rynku walutowym. Kilka miesięcy temu na Białorusi ukształtował się bezprecedensowy dla większości państw europejskich system, gdzie funkcjonowały dwa kursy walutowe. Wyższy był formalnie nielegalny, lecz powszechnie wykorzystywany nie tylko przez obywateli, ale również podmioty gospodarcze, w tym także te z sektora państwowego.

Korzystające z poparcia władz duże państwowe zakłady eksportowe mogły nabywać walutę według niskiego, oficjalnego kursu,

dzięki czemu obniżały koszty produkcji i importu. Natomiast uzyskaną z eksportu walutę zagraniczną (głównie rosyjski rubel) sprzedawały na czarnym rynku, co dawało zyski i pozwalało pokrywać większość wydatków oraz – co ważne dla utrzymania stabilności społecznej – częściowo rekompensować pracownikom coraz szybszy wzrost cen. Zagwarantowanie funkcjonowania głównych eksporterów było dla władz priorytetowe, w związku z czym z miesiąca na miesiąc podtrzymywano ten system, pomimo krytyki białoruskich niezależnych ekonomistów oraz ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jednak pod koniec sierpnia Łukaszenka zapowiedział zamiar urealnienia kursu waluty narodowej i 14 września Bank Centralny uruchomił sesję na giełdzie walutowej, podczas której nie stosowano administracyjnego regulowania i kurs ukształtował się wyłącznie na podstawie mechanizmów rynkowych.

Nowy kurs był wyższy od oficjalnego o około 60 procent, co *de facto* oznaczało legalizację czarnorynkowego. Jednocześnie Bank Centralny zachował kurs oficjalny i zapowiedział stopniowe zbliżanie obu kursów, tak aby do końca jesieni doprowadzić do rynkowej wartości białoruskiej waluty. I choć w kantorach pojawiła się waluta, a Bank Centralny informował o pomyślnym przebiegu planu, eksperci zwrócili uwagę na niski poziom codziennego obrotu nią (rządu kilkudziesięciu milionów dolarów i euro), co w warunkach białoruskich nie mogło dać realnej wysokości kursu. Pojawiały się informacje o specjalnych instrukcjach dla banków i dużych podmiotów gospodarczych, a więc głównych uczestników transakcji na giełdzie walutowej, za pomocą których Bank Centralny wpływa na wysokość dziennego kursu. Tłumaczyłoby to, zadziwiające w kontekście sytuacji w krajach sąsiadujących z Białorusią, zjawisko stopniowego umacniania się rubla wobec euro i dolara. Poza tym władze zdecydowały o wprowadzeniu od listopada obowiązku okazywania paszportu przy nabywaniu walut

obcych w kantorze, co zostało odebrane jako działanie służące ograniczeniu popytu.

Wszystko wskazuje na to, że po raz kolejny białoruskie kierownictwo przeprowadziło reformę rynkową jedynie z nazwy. Głównym celem tej operacji było nakłonienie obywateli do sprzedaży nagromadzonej waluty, a także stworzenie dobrego wrażenia na ekspertach Międzynarodowego Funduszu Walutowego, od którego Mińsk oczekuje pożyczki stabilizacyjnej w wysokości nawet do 8 miliardów dolarów. Jednak perspektywy pozyskania wsparcia kredytowego z zewnątrz są na razie mgliste, a posiadane rezerwy walutowe zbyt małe, aby Bank Centralny mógł dopuścić do pełnego uwolnienia kursu rubla. Najprawdopodobniej do końca roku zostanie ogłoszony jeden, teoretycznie rynkowy, lecz w praktyce znów ręcznie regulowany kurs rubla. W ten sposób błędne koło polityki finansowej białoruskich władz się zamknie i kraj jeszcze bardziej pograży się w kryzysie.

Łukaszenka idzie w zaparte

Kiedy w sierpniu białoruski prezydent ułaskawił kilkunastu więźniów politycznych oraz ogłosił wolę organizacji okrągłego stołu z udziałem opozycji, powstało wrażenie, że polityka reżimu kończy typowy dla siebie cykl, oparty na mechanizmie balansowania od represji do umiarkowanej odwilży. W komentarzach ekspertów przewijały się wówczas tezy o konieczności dojścia do porozumienia z Zachodem, który w zamian za ustępstwa polityczne mógłby wesprzeć pograżającą się w kryzysie gospodarczym Białoruś. Wszystko wskazywało na to, że Łukaszenka rozpoczął „handel więźniami politycznymi”.

Do opinii publicznej przedostała się informacja o „poufnej” sierpniowej wyprawie bułgarskiego ministra spraw zagranicznych Nikołaja Mladenova do Mińska, który rzekomo usłyszał wówczas od białoruskiego lidera zobowiązanie do wypuszczenia wszystkich skazanych za udział w powyborczej

demonstracji opozycji 19 grudnia ubiegłego roku oraz przystąpienie do rozmów z opozycją. Jednak Łukaszenka tydzień po tej deklaracji publicznie w słowach ocenił białorską opozycję jako niegodną udziału w jakimkolwiek dialogu i oskarżył Międzynarodowy Fundusz Walutowy o wywieranie presji w kwestii zwolnienia więźniów politycznych.

Jeszcze bardziej wyrazistą ilustracją intencji reżimu były działania białoruskiej dyplomacji podczas szczytu Partnerstwa Wschodniego w Warszawie w dniach 29-30 września. Zaproszony przez organizatorów minister spraw zagranicznych Białorusi Siergiej Martynow odmówił przybycia, delegując akredytowanego w Polsce ambasadora Wiktora Gajsionka. Oficjalnym uzasadnieniem dla tej decyzji był brak zaproszenia dla Łukaszenki. Następnie w odpowiedzi na ograniczenie – ze względu na zbyt niską rangę – udziału ambasadora w obradach, strona białoruska wycofała delegację. Jednocześnie władze białoruskie uprzedziły, że wszelkie przyjęte na szczycie dokumenty bez udziału przedstawicieli Republiki Białorusi nie będą miały mocy prawnej.

Wszystko wskazuje na to, że Łukaszenka świadomie stworzył sytuację, w której mógł demonstracyjnie zbojkotować szczyt Partnerstwa. Doskonale wiedział, że jako osoba objęta zakazem wjazdu na terytorium Unii nie może pojawić się w Warszawie. Zdawał sobie też sprawę, że wysyłając ambasadora, stawia Białoruś w roli niepełnoprawnego uczestnika obrad. Łukaszenka chciał dobitnie pokazać, że to on będzie określał warunki i tempo dialogu z Unią. Ponadto wysłał Brukseli sygnał niezadowolenia z braku konkretnych profitów z dotychczasowej współpracy, również i tej w ramach Partnerstwa Wschodniego. Komentując decyzję o bojkocie, Łukaszenka przyznał, że liczy na przekształcenie się Partnerstwa ze „szkoły uprawiania polityki i dyplomacji dla Białorusi” w realne partnerstwo, skoncentrowane na projektach współpracy, a nie – jak się wyraził – na „gadulstwie”. Zagrał, jakby

był liderem silnego i zasobnego w surowce naturalne kraju, a nie pogrążonej w kryzysie gospodarczym oraz coraz bardziej zadłużonej Białorusi, która dodatkowo musi się zmagać z coraz skuteczniejszą presją Rosji.

W powyższym kontekście straszenie, szantażowanie, a także oskarżanie Zachodu, w tym przede wszystkim Unii Europejskiej, może okazać się kosztowne i ryzykowne. Rezultatem tego będzie dalsze pogłębienie międzynarodowej samoizolacji Mińska. Dowodem na to jest decyzja ministrów spraw zagranicznych państw unijnych, którzy 10 października zdecydowali o przedłużeniu sankcji wizowych wobec białoruskich władz aż do 31 października 2012 roku i dodali do pokaźnej listy objętych zakazem wjazdu kolejnych szesnastu przedstawicieli reżimu. A zatem wydaje się, że efektywna w poprzednich latach białoruska strategia lawirowania pomiędzy Moskwą a Brukselą się wypaliła, a na jej miejsce nie udało się wprowadzić żadnej skutecznej strategii. Świadczy to o poważnym kryzysie idei i zarządzania w białoruskim systemie autorytarnym, w związku z czym Łukaszence pozostaje już tylko iść „w zaparte”.

Spadek poparcia dla reżimu

We wrześniu białoruski niezależny ośrodek badań opinii NISEPI opublikował dane ogólnokrajowego sondażu, w którym zadano respondentom pytania o ich ocenę sytuacji społeczno-politycznej na Białorusi. W porównaniu z przeprowadzonym w czerwcu analogicznym badaniem, wzrósł odsetek niezadowolonych z polityki władz i z własnej sytuacji materialnej. Niemal 70 procent badanych uznało, że sytuacja rozwija się w niepokojącym kierunku i niemal tyle samo winą za ten stan rzeczy obarczyło prezydenta. W rezultacie odsetek respondentów gotowych zagłosować na Łukaszenkę w najbliższych wyborach prezydenckich wyniósł niewiele ponad 20 procent, co jest najniższym wskaźnikiem jego poparcia podczas siedemnastu lat pracy NISEPI i jednocześnie

całego okresu dotychczasowych rządów białoruskiego lidera.

Jednak te wyniki nie przekładają się na wzrost poparcia dla opozycji. Realnym potwierdzeniem tego paradoksu było fiasko głównego jesiennego przedsięwzięcia opozycji, jakim miał być zwołany na 8 października w ponad dwudziestu białoruskich miejscowościach Wier Ludowy. W Mińsku, według najbardziej optymistycznych szacunków, wzięło w nim udział około tysiąca osób. Jeszcze mniej liczne były akcje w pozostałych miastach.

W tym samym badaniu NISEPI ponad 13 procent respondentów wyraziło gotowość do udziału w mityngach, pikietach i strajkach. Na niespełna dziesięciomilionowej Białorusi to całkiem spory tłum, który jednak występuje jak dotąd tylko na papierze.